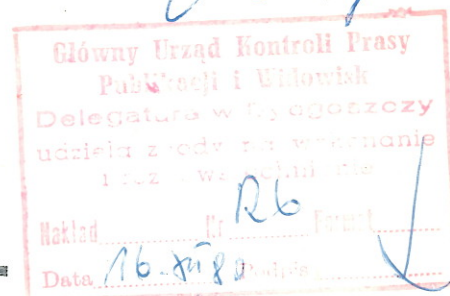


Jerzy Sulima-Kamiński

Redakcja Liter. i Report.

Dnia 17. XII. 1980 r.

Godz. 7.00 - 7.10



K O M E D I A O M Y Ł E K
=====

Proszę Państwa. Dziś chciałbym poekscytować nieco tych z moich słuchaczy, którzy lubią teatr, lecz, niestety, bez wzajemności. Kochać platonicznie... No nie! Nie jest to dominująca cecha naszego wieku! My, także w miłości domagamy się sprzężeń zwrotnych. Tacy już jesteśmy "interesowni". Może dlatego, że potrzebujemy się wzajemnie?

Zacznę od tego, iż w moim literacko-dziennikarskim środowisku uchodzę za łośbkiego teatralnego ignoranta. Ten fakt rozwiąże mi język, bowiem nie mam w tej materii nic do stracenia. Chyba że zyskam paru nowych adwersarzy. Ale to nic. Nawet o to by chodziło. Mój intelektualno-kulturalny życiorys wytrzyma tę próbę.

Moi bliscy współcześni pytają mnie przy okazji każdej premiery: - Byłeś? Widziałeś? - Odpowiedź jest prawie zawsze taka sama: - Nie byłem. Nie widziałem - chociaż tę czy tamtą sztukę zdarza mi się "odwiedzić". Zwyczajnie, po prostu,

Jestem uczulony na teatr. Nie na każdy, oczywiście. Na ten, który nazywa się "prowincjonalnym". A więc i na nasz, bydgoski.

A początek, proszę Państwa, był euforyczny. Pamiętam, że dla jednej sztuki Witkacego, bodajże dla "W małym dworku", zjeździłem w rozklekotanym teatralnym autobusie całe niemal wówczas wielkie województwo bydgoskie. Na zasadzie platonicznego - jak to brzydko a trafnie mawiano - "przydupnika" teatralnego. Bo i mnie, i wielu takich jak ja, nic innego ze sceną nie łączyło, jak tylko pasja znajdowania się w kręgu światła rampy. Witkacy wówczas, były to lata sześćdziesiąte, był wielkim odkryciem scenicznym i intelektualnym, był niemalże synonimem współczesności w teatrze. Potem przelała się przez krajowe sceny burzliwa fala z wielkim dramatem amerykańskim. Potem pękła bania z Brechtem i Dürrenmattem, Annouilhem² i naszym Mrożkiem i Różewiczem. I co? I właściwie koniec. Nastąpiły takie czasy, że łatwiej było inscenizować, niż wystawiać sztuki. Teatr odgrzewał stary repertuar w niekończących się wersjach inscenizacyjnych. Teksty sceniczne stały się trampoliną dla reżyserskiego blefu, sakralizowanego przez snobistyczną krytykę i ogłupiałą publiczność. Każdą wystawianą sztukę trzeba było "odczytać na nowo"; stąd opary

etyliny na przedstawieniach "Balladyny" i szelki w "Kordianie".
Nie liczył się widz, liczyły się sprzedane bilety w masowym kolportażu. Byłe zgadzała się statystyka i bilansował się bilans. A bilansował się dzięki statystyce: puste widownie, pełna wyprzedaż. Teatr zjadał swój własny ogon i dalibóg - tak dzieje się do dziś.

Teatr, proszę Państwa, jest ze swej natury narcystyczny i chory z urojenia. Teatr jako dziedzina sztuki - nie jako przedsiębiorstwo - mógłby właściwie istnieć sam dla siebie. Napędem utrzymującym go przy życiu byłyby nienasycone aspiracje aktorów, popęd do grania głównych ról w wielkim klasycznym repertuarze. Teatry, zwłaszcza prowincjonalne, pełne są potencjalnych Hamletów i Ofelii. Bardzo to infantylne marzenia, skoro się zważy, że Szekspir jest w sztuce aktorskiej stopniem właściwie elementarnym. Wielkie tragiczne prawdy naszego stulecia nie znoszą historycznych, spełzłych kostiumów. Szekspir, dramatopisarz renesansowej Anglii, nie powie nam już dziś nic nowego ani o człowieku, którego badał na tle swojej epoki i w kontekstach ówczesnych warunków polityczno-społecznych, ani tym bardziej o nas samych, bogatszych o ciężar czterech stuleci.

nie śmieszają nas już jego komedie ani nie wzruszają najwinnie dziś brzmiące intrygi. Tak pisał o tym i mówił Lew Tołstoj. Szekspir jest niewątpliwie prekursorem teatru europejskiego, ale należy do historii. Dla teatru współczesnego może być jedynie obowiązkową "lekturą". Przy tym teatr musi być współczesny, tak jak współczesny był w swoim czasie i Szekspir.

Ale teatry, zwłaszcza prowincjonalne, boją się sztuk współczesnych jak ognia. W dużym stopniu składa się na to asekuranctwo dyrektorów scen, których fotele, do niedawna przynajmniej, stały na zapadniach. Dźwigniami tych zapadni sterowali wyspecjalizowani operatorzy z ośrodków dyspozycyjnych. Mały ruch palcem i fotel wraz z delikwentem mógł zniknąć ze sceny. Społeczne zapotrzebowanie na sztukę współczesną nie liczyło się w tych warunkach. Wygodniejszy był bezkolizyjny, jałowy ruch po wyszlizganym obwodzie. Odwieczna, ledwie, ledwie poprawnie wystawiona tak zwana klasyka. Przede wszystkim wspomniany już Szekspir, Molier, Racine. Potem może - to już dobrze! coś z wielkiego dramatu realistycznego: Strindberg, Ibsen. Z naszych Zapolska. Jakieś wodewile. Montaż dzieł prozatorskich - jako namiastka teatru współczesnego. Czasami, jak na lekarstwo, farsa młodego autora. Trochę dramatu romantycznego. To już prawie wszystko.

A przecież, jak na ironię, od lat co roku, u nas na przykład, rozpisuje się pompatyczne konkursy na sztukę współczesną.

Przyznaje się wadia wybranym autorom i nagradza się najlepsze scenariusze. Przy czym z góry wszyscy wiedzą, tak organizatorzy jak i autorzy, że żadna z nagrodzonych sztuk /u nas z wyjątkiem zdaje się jednej czy dwóch/, nigdy nie ukazała się i chyba nie ukaże na scenie. Bo znowu ryzyko, bo znowu kłopoty, bo jeszcze by te sztuki powiedziały coś więcej o naszym współczesnym zbiorowym losie niżby to było dyrektorom teatrów wygodne. Nie wystawia się sztuk, więc się ich nie pisze. I tak zakłęte koło się zamyka.

Jeszcze Scena Studyjna - myślę tu o naszym bydgoskim podwórku, jako teatr osobliwy i do sceny zawodowej nieformalnie przyszyty, stosunkowo najwięcej propaguje sztukę współczesną. Ale jest to przedsięwzięcie artystyczne raczej ekskluzywne, z uwagi na małą częstotliwość spektakli i niewielką widownię, rekrutującą się z wybranego grona koneserów sztuki. Dobrze i to na bezrybiu, ale gdzie tu pokarm dla tak zwanego "szerokiego widza"?

Pozostaje więc teatr telewizyjny, stale pogarszający się, ale zawsze jeszcze najszerszej otwarty dla współczesności.

Jest on, to już naprawdę banał - najgroźniejszym rywalem dla teatrów z poza głównych ośrodków kulturalnych. Jeśli już sztuka mierna, to pozostaje aktor, nie zawsze może genialny, lecz co najmniej na tyle dobry, że warto dla niego pozostać w domu, w bamboszach i przy kawie.

Są więc teatry terenowe w sytuacji trudnej i powiedziałbym nawet niesławnej. Brak im, z nielicznymi wyjątkami oczywiście, tej twórczej i społecznej ofensywności w kształtowaniu repertuaru. Nie wierzą ani w siebie, ani w widza, który wolałby, sądzę, obejrzeć trzy sztuki współczesne nieudane, niż "coś" z klasyki, na poziomie dobrej przeciętnej. Nikomu tutaj nie schlebię, jeśli powiem, że nasza widownia teatralna jest inteligentna i wrażliwa na niuanse. Zwłaszcza te, które odnoszą się do naszej narodowej sytuacji. Teatr zawsze i wszędzie był odzwierciedleniem życia społecznego swego czasu. I zawsze, w jego warstwie tematycznej i problemowej, tkwiły elementy publicystyczne, odwołujące się do doświadczeń chwili. Tego właśnie brak od długiego już czasu naszym teatrom, przede wszystkim prowincjonalnym. Generalnie, zastrzegam się. Bo tu i ówdzie pojawiają się jaskółki, które wszakże w całym pejzażu teatralnym nie czynią wiosny.

Czy nawołuję do bojkotu teatru? Ależ nie, proszę Państwa!

Tak głęboko moja ^{ignorancja} ingerencja nie sięga. Teatr, poza literaturą drukowaną, jest przecież jednym z głównych nośników i przekazników kultury. Nie o rezygnację więc chodzi, tylko o - walkę.

O to, by pierwszeństwo na scenie wywalczyła sobie nasza współczesność. I to nie ta lakierowana, nie fryzowana. W historii naszego narodu, jak w niewielu może innych, tkwią przebogate złoża materii dramaturgicznej. I tej na wielkie tragedie - i tej na farsę. Być może teraz właśnie nadszedł czas na sceniczną eksploatację tych pierwiastków. Jeśli tak, to ręczę za to, że przed kasami teatrów pojawią się kolejki jak po marchew, czy po "żytoż w Peweksie.

- - - - -